

ANTONI CZECHOW



Opowiadania  
całkiem śmieszne

**Antoni Czechow**

**Opowiadania całkiem śmieszne**

*Córa Albionu*  
*Zagadkowa natura*  
*Szczęśliwy*  
*Dzieło sztuki*

**Przełożył A. W. [Antoni Lange]**

.....

**Fundacja Festina Lente**

## Córa Albionu

**P**przed dwór obywatela ziemskiego Griabowa zajechał piękny powóz na gumowych kołach, o aksamitnym siedzeniu i z tłustym stangretem. Z powozu wysiadł powiatowy marszałek szlachty Fiodor Iljicz Otcow. W przedpokoju przywitał go zaspany lokaj.

– Państwo w domu? – spytał marszałek.

– Nie ma. Pani z dziećmi pojechała z wizytą, a pan z mamzelą guwernantką łowi ryby od samego rana.

Otcow powstał chwilę i poszedł nad rzekę szukać Griabowa. Znalazł go o dwie wiorsty od domu. Spojrzawszy w dół ze stromego brzegu rzeki i ujrawszy Griabowa, Otcow parsknął śmiechem... Griabow, wysoki gruby mężczyzna, siedział na piasku, podgiąwszy nogi po turecku i łowił ryby. Kapelusz zsunął mu się na tył głowy, krawat wykrzywił. Obok niego stała cienka Angielka, z wyłupiastymi, jak u raka, oczyma i wielkim ptasim nosem, podobnym bardziej do haczyka niż do nosa. Ubrana była w białą muślinową suknię, przez którą wyraźnie przeświecały jej chude, żółte ramiona. Ze złotego paska zwisał złoty zegarek. Łowiła również ryby. Otaczała ich zupełna cisza. Byli nieruchomi, jak rzeka, na której unosiły się pływaki ich wędek.

– Nie miała baba kłopotu! – zaśmiał się Otcow. – Witaj, Iwanie Kuzmiczu!

– A, to ty! – wyrzekł Griabow, nie odrywając oczu od wody. – Przyjechałeś?

– Jak widzisz... A ty wciąż zajmujesz się jeszcze tym bzdurstwem? Nie odzwyczaiłeś się?

– Jakiego diabła... Cały dzień łowią, od samego rana... Źle się jakoś łowi. Nic nie złowiłem ani ja, ani ta mała zielona. Siedzimy, siedzimy i żeby to choć jakieś lichy. Choć gwałtu krzycz!

– Pluń lepiej... Pójdziemy pić wódkę...

– Poczekaj... Może przecież coś złowimy. Koło wieczora ryba lepiej bierze. Siedzę tu, bracie, od samego rana. Takie nudy, że opowiedzieć trudno. Licho mnie skusiło, przyzwyczajając się do łowienia. Wiem, że to niedorzeczność, ale siedzę! Siedzę, jak hultaj jakiś, jak kajdaniarz, i patrzę na wodę jak idiota. Należałoby pojechać na sianokos, a ja łowią ryby. Wczoraj w Chaponiewie sam biskup nabożeństwo odprawiał, a ja ryby łowiłem z tą ropuchą, z tą diabolicą...

– Ale... czyś ty zwariował? – spytał Otcow, skonfundowany, zerkając na Angielkę. – Wymyślasz przy damie... i to na nią.

– A niech ją diabli! Wszystko jedno, ani słówka nie rozumie po rosyjsku. Czy ją chwalić, czy ganić, jej wszystko jedno. Spójrz tylko na nos! Od samego widoku tego nosa można zemdleć! Siedzimy po całych dniach razem, ale żeby wyrzekła choć jedno słoweczko! Stoi, jak strach na wróble, i gały na wodę wytrzeszcza.

Angielka ziewnęła, zmieniła robaka i zarzuciła wędkę

– Nie mogę wyjść ze zdumienia – ciągnął dalej Griabow – mieszka oślica dziesięć lat w Rosji i żeby choć jedno słowo po rosyjsku! Jakiś nasz arystokracik pojedzie do nich i prędko nauczy się paplać po tamecznemu, a oni... diabli ich wiedzą! Spójrz na nos! Na nos spójrz!

– Przestań... niezręcznie... Czemu napadasz na kobietę?

– To nie jest kobieta, to dziewczica... O kawalerach, prawdopodobnie, marzy, kukła diabelska... I pachnie od niej jakąś zgnilizną. Znienawidziłem ją, bracie. Nie mogę na nią patrzeć obojętnie, kiedy spojrzy na mnie swoimi ślepiami, to się wzdrygam cały, jakbym się łokciem o kant uderzył. Także lubi łowić ryby! Spojrzyj, łowi i celebryje... Z pogardą na wszystko patrzy... Stoi, bestia, i ma świadomość, że jest człowiekiem, a więc władcą natury. A wiesz, jak się nazywa? Uilka Czarlowna Tfajs! Tfu!... wymówić nie można.

Angielka, usłyszawszy swoje nazwisko, spokojnie zwróciła nos w stronę Griabowa i zmierzyła go wzgardliwym spojrzeniem.

Z Griabowa przeniosła wzrok na Otcowa i również oblała go swą wzgardą. A wszystko w milczeniu, poważnie, z flegmą.

– Widziałeś? – spytał, śmiejąc się, Griabow. – Ot, macie! powiada. Ach, ty koczokodanie! Tylko ze względu na dzieci trzymam tego trytona. Gdyby nie dzieci, to bym nie dopuścił jej o dziesięć wiorst do swego majątku. Nos, jak u jastrzębia... A kibić!? Ta lala przypomina mi długi gwoźdź. Chce mi się, wiesz, wziąć ją, i wbić w ziemię... Poczekaj!... U mnie, zdaje się, bierze...

Griabow wstał i pociągnął... raz, potem pociągnął znowu i nie wydobył haczyka.

– Zaczepił się – powiedział i zmarszczył brwi.

– O kamień, prawdopodobnie... Do licha!

Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Wzdychając, poruszając się niespokojnie i mrużąc przekleństwa, zaczął szarpać wędkę. Szarpanie jednak nie doprowadziło do niczego.

Griabow zbladł.

– Jaka szkoda! Trzeba będzie wleźć do wody.

– Ale, rzuć do diabła!

– Niemożliwe... Przed wieczorem najlepiej się łowi...  
Co za niemiła przygoda, mój Boże. Trzeba leżeć do wody.  
Trzeba! A gdybyś wiedział, jak mi się nie chce rozbierać...  
Anielkę trzeba usunąć... Przy niej nie wypada się rozbierać.  
Jednak dama! – Griabow zrzucił kapelusz i krawat. – Miss...  
e-e-e – zwrócił się do Anielki. – Miss Tfajs! Że wu pri... jak  
jej powiedzieć? Jak ci powiedzieć, żebyś zrozumiała?  
Posłuchaj pani... tam! Tam iść! Słyszysz?

Miss Tfajs wionęła na Griabowa pogardą i wydała  
dźwięk nosowy.

– Co? nie rozumiesz? Wynoś się stąd, mówię ci. Muszę  
się rozebrać, kukło diabelska. Tam idź! Tam!

Griabow pociągnął miss za rękaw, wskazał jej na krzaki  
i przysiadł na ziemi – miało to oznaczać: idź za krzaki i  
schowaj się tam.

Anielka, ruszając energicznie brwiami, wyrzekła  
prędko jakiś długi frazes angielski.

Obywatele parsknęli śmiechem.

– Pierwszy raz w życiu słyszę jej głos... Nie ma co  
mówić, głosik!

– Pluń, chodźmy pić wódkę.

– Niemożliwe, teraz powinna się złowić... Wieczór... Co  
robić?

– A to dopiero historia! Trzeba będzie przy niej się  
rozebrać.

Griabow zrzucił z siebie marynarkę i kamizelkę i siadł  
na piasku, by zdjąć buty.

– Posłuchaj, Iwanie Kuzmiczu – zwrócił mu uwagę  
marszałek, śmiejąc się w kułak. – To już naigravanje się...

– Nikt jej nie prosi, żeby nie rozumiała. To nauka dla  
nich, dla cudzoziemców!

Griabow zdjął buty, spodnie, zrzucił z siebie bieliznę i  
został w stroju Adama. Otcow trzymał się za brzuch i aż

zarumienił się ze śmiechu i wstydu. Angielka poruszała brwiami i mrugała oczyma. Po jej wyżółkłej twarzy przemknął się wyniosły, pogardliwy uśmiech.

– Trzeba ostygnąć – powiedział Griabow – klepiąc się po brzuchu. Powiedz mi, proszę cię, dlaczego ja co lato dostaję wysypki na piersiach?

– Włóż do wody albo przykryj się czymś! Bydlę!

– I żeby się chociaż zmieszała, podła! – powiedział Griabow, włączając do wody i robiąc znak krzyża. – Brr... zimna woda! Patrz, jak brwiami rusza! Nie odchodzi... Stoi ponad tłumem!... Che che che! Nawet nie uważa nas za ludzi!

Wszedł po kolana w wodę i wyprostowawszy całą swą kolosalną figurę, powiedział:

– Tu dla ciebie nie Anglia! Co?

Miss Tfajs obojętnie zmieniła robaka, ziewnęła i zarzuciła wędkę.

Otcow się odwrócił. Griabow odczepił haczyk, dał nurka i, sapiąc, wylazł z wody. Dwie minuty później siedział znów na piasku i łowił ryby.

## Zagadkowa natura

**P**rzedział klasy pierwszej.

Na kanapie, krytej aksamitem barwy amarantowej, na wpół leży przystojna kobietka. Drogi wachlarz z frędzlą trzeszczy w jej nerwowo ściśniętej pięści, binokle co chwila spadają z jej łagodnego noska, broszka na piersiach to się podnosi, to opada, jak czółno wśród fal... Jest podniecona... Naprzeciw niej, na kanapie, siedzi urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorze, młody, początkujący literat; autor, drukujący w „Wiadomościach Gubernialnych” niewielkie opowiadania albo, jak je sam nazywa, „nowele” z życia eleganckiego świata. Patrzy na jej twarz przenikliwie, z miną znawcy, przygląda się podróźnej. On obserwuje, studiuje, przenika jej ekscentryczną, zagadkową naturę, rozumie, chwyta...

– O ja panią rozumiem! – mówi, całując ją w rękę koło bransoletki. – Dusza pani, subtelna i wrażliwa, szuka wyjścia z labiryntu... Tak, to jest straszna, chimeryczna walka, ale niech pani nie upada na duchu! Pani zwycięży! Bezwarunkowo!

– Opisz mnie pan, panie Woldemarze – mówi dama ze smutnym uśmiechem. – Życie moje jest tak pełne, tak wielobarwne, takie rozmaite... A co najważniejsze – jestem nieszczęśliwa! Jestem męczennicą w stylu Dostojewskiego... Niech pan pokaże światu moją duszę. Pan jest głęboki. Nie ma



jeszcze godziny, jak tu siedzimy i rozmawiamy, a pan już mnie zrozumiał zupełnie, całkowicie!

– Niech pani mówi, błagam, niech pani mówi!

– Więc proszę słuchać. Urodziłam się w biednej urzędniczej rodzinie. Ojciec, dobry człowiek, inteligentny, ale... duch czasu i środowiska... *vous comprenez*, nie oskarżam mego biednego ojca. Pił, grał w karty... brał łapówki... Matka zaś... co tu mówić! Bieda, walka o kawałek chleba, świadomość własnej nędzy... Ach, niech mnie pan nie zmusza do przypominania! Musiałam sama sobie torować drogę... Potworne wychowanie w instytucie, czytanie głupich romansów, błędy młodości, pierwsza nieśmiała miłość... A walka z otoczeniem? Okropne! A wątpliwości? A męki rodzącej się niewiary w życie, w siebie?... Ach! Pan jest literatem i zna nas, kobiety. Pan zrozumie... Na nieszczęście, jestem naturą szeroką... Oczekiwałam innego szczęścia! Pragnęłam być człowiekiem! Tak! Być człowiekiem – w tym upatrywałam szczęście!

– Cudowna – bełkocze literat, całując rękę koło bransoletki. – Nie panią całuję, uroczą istotę, lecz cierpienie ludzkie! Pamięta pani Raskolnikowa? On tak całował.

– O, Woldemarze, byłam spragniona sławy, rozgłosu, blasku, jak każda, po co udawać skromność, jak każda, nietuzinkowa natura. Pożądałam czegoś niezwykłego, niekobiecego! I oto... i oto... nawinął się na mej drodze bogaty staruszek, generał... Zrozum mnie pan, panie Woldemarze! Przecież to była ofiara, było to wyrzeczenie się siebie, niech pan zrozumie! Nie mogłam inaczej postąpić. Zbogaciłam rodzinę, zaczęłam podróżować, pomagać ubogim... A jak cierpiałam, jak nie do zniesienia wstrętne były dla mnie objęcia tego generała, chociaż, trzeba mu to przyznać, w swoim czasie walczył mężnie. Bywały chwile... okropne chwile! Ale podtrzymywała mnie myśl, że staruszek dziś-jutro

umrze, że zacznę żyć, jak chciałam, oddam się ukochanemu człowiekowi, będę szczęśliwa... A mam takiego człowieka, Woldemarze! Bóg świadkiem, jest taki!

Dama porusza gwałtownie wachlarzem. Twarz przybiera płaczliwy wyraz.

– Ale oto staruszek umarł... Zostawił mi coś-niecoś i jestem wolna, jak ptak. Teraz mogłabym żyć szczęśliwie... Czy nie tak, Woldemarze? Szczęście stuka do mego okna, trzeba je tylko wpuścić... ale nie! Słuchaj mnie pan, panie Woldemarze, zaklinam pana! Teraz właśnie oddać się kochanemu człowiekowi, stać się jego towarzyszką, pomocnicą, wyznawczynią jego ideałów, być szczęśliwą... odpocząć... Ale jak wszystko jest wstrętne, niskie, głupie na tym świecie! Jak wszystko jest podłe, Woldemarze! Jestem nieszczęśliwa, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! Na drodze mojej znowu stoi przeszkoda! Znowu czuję, że szczęście moje daleko, daleko! Ach, gdyby pan wiedział, ile męczarni, ile męczarni!

– Ale cóż takiego? Co stało na drodze pani? Błagam panią, niech pani powie! Co?

– Drugi bogaty staruszek...

Połamany wachlarz zasłania ładniutką twarzyczkę. Literat podpira ręką głowę, pełną głębokich myśli. Wzdycha i z miną znawcy-psychologa zamyśla się.

Parowóz świszczy, skrzypi, a firanki w oknie czerwienią się od zachodzącego słońca.

## Szczęśliwy

**Z**e stacji Bołogoje kolei Mikołajewskiej rusza pociąg osobowy. W jednym z przedziałów drugiej klasy „dla palących”, pogrążonym w mroku, drzemie pięciu pasażerów. Tylko co skończyli się posilać i teraz, przytuliwszy głowy do oparcia ławek, starają się zasnąć. Panuje cisza.

Drzwi się otwierają i do przedziału wchodzi wysoka postać w rudawym kapeluszu i eleganckim palcie, mocno przypominająca korespondentów, spotykanych w operetkach i powieściach Jules’a Verne’a.

Postać zatrzymuje się pośrodku wagonu, sapie i spod zmrużonych powiek długo patrzy w kierunku ławek.

– Nie, to nie ten...– mruczy – diabli wiedzą, co to takiego, wprost oburzające, nie, to nie ten...

Jeden z pasażerów przygląda się postaci i wybucha radosnym okrzykiem:

– Iwanie Aleksejewiczu, skąd się pan tu wziął? To pan?

Wysmukły Iwan Aleksejewicz wstrząsa się, bezmyślnie spogląda na pasażera, poznawszy go jednak, wesoło klaszcze w dłonie.

– Ach, Piotrze Piotrowiczu, kopę lat! A ja wcale nie wiedziałem, że pan jedzie tym pociągiem.

– Jak zdrowie?

– Nieźle, tylko, ot, dobrodzieju, zgubiłem swój wagon i nie mogę go teraz w żaden sposób znaleźć. Taki ze mnie idiota! Warto by mnie obić!

Wysmukły Iwan Aleksejewicz słania się i chichocze.

– Zdarzają się przecież takie wypadki! – ciągnie dalej. – Wyszedłem po drugim dzwonku napić się koniaku, napiłem się i myślę sobie, że do najbliższej stacji jeszcze daleko, warto by więc może wypić jeszcze kieliszek. Kiedy więc myślałem i piłem, nagle trzeci dzwonek... pędzę, jak wariat, i wskakuję do pierwszego lepszego wagonu. No, czy nie idiota ze mnie? Nie cymbał?

– Widocznie jest pan w wesołym nastroju – mówi Piotr Piotrowicz. – Przysiadź się pan. Bardzo proszę.

– Nie mogę, pójdę szukać mego wagonu. Do widzenia!

– Po ciemku jeszcze pan, co nie daj Boże, z platformy spadnie. Siadaj pan, a gdy dojedziemy do stacji, odszukasz pan swój wagon.

Iwan Aleksejewicz wzdycha i z wahaniem siada naprzeciwko Piotra Piotrowicza. Jest widocznie podniecony i siedzi, jak na szpilkach.

– Dokąd pan jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz.

– Ja? W świat! W głowie mam taki zamęt, iż sam się nie orientuję, dokąd jadę. Wiedzie mnie los, więc jadę. Cha, cha! Kochany panie, czy pan widział kiedy szczęśliwych głupców? Nie? To niech pan patrzy na mnie. Ma pan przed sobą najszcześniejszego ze śmiertelników! Tak jest! Nie poznać nic po mojej twarzy?

– Niby znać... że pan trochę... tego...

– Muszę teraz mieć strasznie głupią fizjonomię. Szkoda, że nie ma lustra, chciałbym teraz spojrzeć na moją mordowizację. Czuję, dobrodzieju, że odbywam podróż poślubną. No, czy nie fujara ze mnie?

– Pan? Czy się pan ożenił?

– Dzisiaj, mój najdroższy, wziąłem ślub i wprost na kolej.

Rozpoczynają się powinszowania i zwykłe zapytania.

– Aha! – śmieje się Piotr Piotrowicz – dlatego się pan tak wyelegantował.

– Tak, dla całkowitego złudzenia nawet się uperfumowałem. Po uszy pogrążyłem się w drobiazgach. Ani kłopotów, ani żadnych myśli, jedynie uczucie czegoś takiego... diabli wiedzą, jak to nazwać, błogości, powiedzmy. Nigdy jeszcze tak dobrze się nie czułem.

Iwan Aleksejewicz przymruża oczy i kręci głową.

– Jestem oburzająco szczęśliwy! – mówi. – Osądź pan sam. Pójdę teraz do swego wagonu. Tam na kanapie, przy oknie, siedzi kobieta, która całą swą istotą, że tak powiem, jest mi oddana. Blondyneczka taka, z noskiem, z paluszkami. Serduszko ty moje! Aniołku ty mój! Kruszynka taka. Filoksera mojej duszy! A nóżka! Boże drogi, nóżka, to przecież nie to, co wasze nogasy, lecz po prostu jakaś miniatura, jakieś czarodziejstwo, alegoria! Chciałoby się wziąć i zjeść taką nóżkę. Cóż, pan nic nie rozumie! Pan jest materialistą, zaraz u pana to to, to owo, Kawaler o sercu oschłym – i nic więcej. Jak się pan ożeni, to sobie pan przypomni. „Gdzie się teraz obraca Iwan Aleksejewicz?” powie pan sobie. Otóż, pójdę zaraz do swego wagonu, tam mnie ktoś oczekuje z niecierpliwością, ma przedsmak mego zjawienia się. Wita mnie twarz uśmiechnięta, przysiadam się i tak dwoma palcami za podbródek... – Iwan Aleksejewicz kręci głową i zanosi się od szczęśliwego śmiechu. – Potem kładę łepetynę na jej ramieniu i obejmuję kibić. Wokoło, rozumie pan, cisza... poetyczny półzmrok. Cały świat chciałoby się uścisnąć w takiej chwili. Piotrze Piotrowiczu, niech pan pozwoli się uścisnąć.

– Proszę bardzo.

Przyjaciele przy ogólnym śmiechu pasażerów ściskają się i szczęśliwy nowożeniec ciągnie dalej:

– A dla większego idiotyzmu, albo, jak tam piszą w powieściach, dla większej złudy, idę do bufetu i wychylam dwa, trzy kieliszki. Wtedy w głowie i w piersiach powstaje coś takiego, czego i w bajkach znaleźć trudno. Jestem niewybitnym, nieznanym człowiekiem, a zdaje mi się, że granic nie mam, że cały świat ogarniam.

Pasażerowie, patrząc na wstawionego szczęśliwego nowożeńca, zarażają się jego wesołością i spać im się odechciewa. Zamiast jednego słuchacza, Iwan Aleksejewicz wkrótce ma pięciu. Kręci się, jak na szpilkach, parska, wymachuje rękami i gada bez przerwy. Śmieje się i wszyscy śmieją się z nim razem.

– Grunt, panowie, to jak najmniej myśleć! Do diabła wszystkie te analizy! Chce ci się pić – to pij, a nie filozofuj, czy to pożyteczne, czy szkodliwe... Wszystkie te filozofie i psychologię do diabła!

Przez wagon przechodzi konduktor,

– Mój dobrodziej – zwraca się do niego nowożeniec – jak pan będzie przechodzić przez wagon numer dwieście dziewiąty, to proszę poszukać tam panią w szarym kapeluszu z białym ptaszkiem i powiedzieć jej, że jestem tutaj.

– Dobrze. Tylko w tym pociągu nie ma numeru dwieście dziewiątego, jest tylko dwieście dziewiętnasty,

– Niech będzie dwieście dziewiętnasty. Wszystko jedno! Więc proszę powiedzieć tej pani: mąż jest zdrow i cały.

Iwan Aleksejewicz chwytą się nagle za głowę i jęczy:

– Mąż... pani... czyż to dawno?... mąż... Che, che! W skórę powinienes brać, a jesteś mężem, Ach, idioto! A ona! Wczoraj jeszcze była dziewczątkiem... motylkiem... Nie chce się wierzyć...

– W naszych czasach nawet dziwnym się wydaje spotkać szczęśliwego człowieka –mówi jeden z pasażerów. – Prędzej można trafić na białego słonia.

– Tak, a kto winien? – mówi Iwan Aleksejewicz, wyciągając swoje długie nogi w trzewikach z ostrymi nosami. – Jeżeli nie jesteście szczęśliwi, to samiście sobie winni? Myślicie, że nieprawda? Człowiek jest sam twórcą swego szczęścia. Jeśli tylko zechcecie, będziecie szczęśliwi. Ale wy nie chcecie, uparcie uchylacie się od szczęścia.

– Masz tobie! A to w jaki sposób?

– Bardzo prosty!... Przyroda postanowiła, aby człowiek w pewnym okresie swego życia kochał. I gdy okres ten nastaje, kochaj ze wszystkich sił, a przecież wy nie słuchacie natury, wciąż czegoś oczekujecie. Dalej, prawo mówi, że normalne indywiduum powinno się ożenić. Bez małżeństwa nie ma szczęścia. Trafiły się okoliczności sprzyjające – to siężeń, nie marudź. Ale przecież wy się nie żenicie, wciąż na coś czekacie. Dalej, powiedziane jest w Piśmie Świętym, że wino rozwesela serce człowieka... Jeżeli ci jest dobrze i chcesz, aby ci było jeszcze lepiej – to idź do bufetu i wypij. Grunt – nie mędrkować, jeno żyć według szablonu. Szablon – to wielka rzecz.

– Pan mówi, że człowiek jest twórcą swego szczęścia. Jakim, u licha, jest twórcą, jeśli dość chorego zęba albo złej teściowej, żeby jego szczęście wywróciło się do góry nogami? Wszystko zależy od przypadku. Niechby się z nami zdarzyła teraz katastrofa, toby pan zaraz inaczej zaśpiewał...

– Głupstwo – protestuje nowożeniec. – Katastrofy zdarzają się raz na rok, żadnych wypadków się nie boję, bo niema żadnej racji, żeby się zdarzyły. Wypadki są rzadkie. Pal je licha! Nawet mówić o nich nie chcę! Ale zdaje się, że dojeżdżamy do przystanku.

– Pan dokąd teraz jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz. – Do Moskwy czy też dalej na południe?

– Masz sobie! W jaki sposób, jadąc na północ, mogę trafić gdzieś dalej na południe?

– Ale przecież Moskwa nie jest na północy.

– Wiem, lecz my jedziemy przecie do Petersburga.

– Do Moskwy jedziemy, zlituj się pan!

– W jaki sposób do Moskwy? – dziwi się nowożeniec.

– Dziwne... Dokąd pan wziął bilet?

– Do Petersburga.

– W takim razie wieszuję. Wsiadł pan do niewłaściwego pociągu.

Pół minuty przechodzi w milczeniu. Nowożeniec wstaje i tępym wzrokiem ogarnia całe towarzystwo.

– Tak, tak! – objaśnia Piotr Piotrowicz. – Na stacji Bołogoje po koniaku diabli pana skusili wskoczyć do pociągu, idącego w odwrotnym kierunku.

Iwan Aleksejewicz błędnie, chwytając się za głowę i zaczyna szybko biegać po wagonie.

– Ach, ciężki idiota ze mnie! – wyrzeka. – Podlec ze mnie, niech mnie diabli porwą! Co ja teraz zrobię?! Przecież w tamtym pociągu jest żona! Sama jedna... czeka... tęskni... Ach,

błazen ze mnie!

Nowożeniec pada na ławkę, krzywi się, jak gdyby mu ktoś nastąpił na odcisk.

– Nieszczęsny ze mnie człowiek! – jęczy. – Co ja zrobię?... Co?...

– No, no! – pocieszają go pasażerowie. – Głupstwo... Zatelegrafuj pan do żony, a sam postaraj się wsiąść po drodze do pośpiesznego pociągu. W ten sposób ją pan dogoni,



– Pośpieszny pociąg... – płacze nowożeniec, „twórca swego szczęścia”. – A skąd wezmę pieniędzy na kurier? Wszystkie pieniądze ma żona.

Porozumiawszy się między sobą, pasażerowie urządzają składkę i zaopatrują szczęśliwca w monetę.

## Dzieło sztuki

Trzymając pod pachą paczkę, owiniętą w numer 223 „Wiadomości Giełdowych”, wsunął się Sasza Smirnow do gabinetu doktora Koszelkowa.

– Ach, cóż za miły gość! – zawołał doktor. – Jakże się czujemy? Co pan powie nowego?

Sasza mrugnął oczyma, przyłożył rękę do serca i drżącym głosem zaczął:

– Mama się kłania i pozdrawia... Jestem jej jedynakiem i pan uratował mi życie, wyleczył z niebezpiecznej, choroby... Nie wiemy, doprawdy, jak panu dziękować...

– Dostyc już, dostyc – bronił się doktor, nie posiadając się z radości. – Uczyniłem tylko to, co każdy inny uczyniłby na moim miejscu.

– Jestem jedynakiem i pan uratował mi życie... Jesteśmy ludzie biedni i, oczywiście, nie możemy opłacić pańskiego trudu i... bardzo nam wstyd, panie doktorze, chociaż jednak mama i ja... jedyny syn... usilnie prosimy przyjąć w dowód wdzięczności... tę rzecz, która... Rzecz bardzo cenna, ze starego brązu... dzieło sztuki.

– Niepotrzebnie – bronił się doktor – no i po cóż mi to?

– Nie, niech pan doktor nam nie odmawia – bełkotał Sasza, rozwijając paczkę. – Odmową obraziłby pan i mamę, i mnie... Rzecz bardzo ładna... ze starego brązu... Mamy ją jeszcze po ojcu nieboszczyku i przechowywaliśmy jak najdroższą pamiątkę. Ojciec mój skupował stare brązy i

sprzedawał amatorom. Teraz ja z mamusią zajmujemy się tym samym...

Sasza rozwinął papier i z dumą postawił przedmiot na stole. Był to nieduży kandelabr ze starego brązu, kunsztownej roboty. Wyobrażał grupę: na piedestale stały dwie postacie kobiece w strojach Ewy, w pozach, dla opisu których brak nam śmiałości. Postacie uśmiechały się zalotnie i sprawiały w ogóle takie wrażenie, że można by sądzić, że gdyby nie obowiązek podtrzymywania świecznika, zeskoczyłyby z piedestału i zrobiłyby w pokoju coś takiego, o czym nawet myśleć nie wypada.

Spojrząwszy na ten dar, doktor podrapał się z lekka za uchem i potarł nos.

– Tak, rzecz, naprawdę prześliczna – wybełkotał – ale, jak by to powiedzieć, nie tego... trochę zanadto nieliteracka... To już nie dekolt, lecz lichy wie, co takiego...

– Panu się to nie podoba?

– Sam wąż-kusiciel nie wymyśliłby nic gorszego...

Przecież postawić na stole taką... tego... fantasmagorię, znaczyłoby całe mieszkanie zapaskudzić.

– Jak pan dziwnie sądzi o sztuce – obraził się Sasza. – Przecież to dzieło sztuki, niech się pan przyjrzy. Tyle w tym piękna, że duszę opanowuje niezwykle uczucie i łączy duszę w gardle. Patrząc na tak piękną rzecz, zapomina się o wszystkim na ziemi. Niech pan zwróci uwagę, jak wiele w tym ruchu ekspresji...

– Wszystko to doskonale rozumiem – przerwał doktor – ale niech pan sam osądzi: u mnie tu przecież dzieciaki biegają, bywają damy...

– Oczywiście, patrząc na to piękne dzieło sztuki z punktu widzenia tłumy – rzekł Sasza – przedstawi się ono zupełnie w innym świetle. Ale niech pan doktor stanie ponad tłumem, tym bardziej, że odmowa głęboko zasmuciłaby mnie i

mamusię. Jestem jedynakiem, pan uratował mi życie...  
Oddajemy panu najdroższą naszą rzecz i... żałuję tylko, że nie ma pary do tego pięknego kandelabru.

– Dziękuję bardzo, jestem szczerze wdzięczny... Proszę kłaniać się mamusi, ale naprawdę, niech pan osądzi, u mnie tu dzieciaki biegają, damy bywają. Zresztą, niech zostanie, pan tego i tak nie zrozumie.

– I tłumaczyć nie warto – ucieszył się Sasza. – Niech pan ten kandelabr tutaj postawi, tutaj, koło wazonu. Jaka szkoda, że nie ma pary! Jaka szkoda! Do widzenia, panie doktorze.

Po wyjściu Saszy, doktor długo drapał się za uchem i rozmyślał.

...Rzecz doskonała, ani słowa – myślał – wyrzucić szkoda... a zostawić u siebie – niemożliwe... Hm... To dopiero łamigłówka! Komu by ją podarować?

Po długim namyśle przypomniał sobie dobrego znajomego, adwokata Uchowa, któremu był winien za prowadzenie sprawy.

...Doskonale – pomyślał doktor. – Jemu, jako przyjacielowi, nie wypada wziąć ode mnie pieniędzy, więc będę zupełnie w porządku, jeżeli mu coś zaniosę. Odwiozę mu to paskudztwo, jest nieżonaty, lekkomyślny...

Bez zwłoki przeto doktor ubrał się i pojechał z kandelabrem do Uchowa.

– Jak się masz, przyjacielu – rzekł, zastawszy adwokata w domu... – Przyszedłem podziękować ci za twoją pracę. Nie chcesz pieniędzy, to przynajmniej weź to. Przepiękna rzecz.

Ujrawszy świecznik, adwokat wpadł w nieopisany zachwyty,

– A to dopiero! – zaśmiał się. – Niech ich diabli! Że też ludzie wymyślą coś podobnego.

– Nadzwyczajne! Zachwycające! Skądciś to wy dostał?  
Wyraziwszy swój zachwyt, adwokat spojrzawszy lekko na drzwi, powiedział:

– Tylko, bracie, zabieraj swój prezent. Nie mogę tego przyjąć.

– Dlaczego? – przeląkł się doktor.

– A dlatego... U mnie tu bywa matka, klienci... nawet przed służącą byłoby mi wstyd.

– Nie, nie, nie... nie myśl nawet o odmowie, to byłoby świństwo. Obraziłbym się.

– Żeby choć zamazane było albo listki figowe poprzczepiane...

Ale doktor machnął rękami, wybiegł szybko z mieszkania przyjaciela i zadowolony, że mu się udało pozbyć przedmiotu, pojechał do domu.

Po jego wyjściu, adwokat obejrzał świecznik, obmacał go ze wszystkich stron i podobnie, jak doktor, długo łamał sobie głowę, co zrobić z podarunkiem.

...Rzecz prześliczna – myślał – wyrzucić szkoda, a trzymać u siebie – nieprzyzwoicie. Najlepiej komuś podarować... O, zaniosę ją dziś wieczorem komikowi Szaszkinowi. Lubi, kanalia, takie rzeczy, a dziś nawet jest jego benefis...

Uchow zrobił, jak postanowił. Wieczorem kandelabr, starannie owinięty, wręczony został Szaszkinowi. Przez cały wieczór w garderobie komika było pełno mężczyzn, którzy przychodzili oglądać prezent. Cały czas słychać było w garderobie hałas i śmiech, podobny do rżenia koni. Jeżeli do drzwi zbliżała się która z aktorek i pytała: „Czy można?“, natychmiast dawał się słyszeć ochrypnięty głos komika: „Nie, nie, jestem nieubrany!”

Po przedstawieniu komik wzruszył ramionami i mówił:

– Gdzież ja to świństwo podzieję? U mnie przecie artystki bywają. Fotografię, to jeszcze do szuflady schować można, a z tym?...

– A niech pan sprzeda – poradził fryzjer. – Tu niedaleko mieszka jedna staruszka, która kupuje stare brązy. Spytać się tylko trzeba o Smirnową, ją tam każde dziecko zna.

Komik usłuchał...

W dwa dni później doktor Koszelkow siedział w swym gabinecie i przyłożywszy palec do czoła, rozmyślał o kwasach żółciowych. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Sasza Smirnow. Uśmiechał się i cała jego postać promieniała szczęściem. W rękę trzymał coś owiniętego w gazetę.

– Panie doktorze – zaczął, nie mogąc złapać tchu. – Niech pan sobie wystawi moją radość. Udało nam się znaleźć parę do pańskiego kandelabra. Mamusia tak się ucieszyła. Jestem jej jedynym synem. Pan mi uratował życie...

I Sasza, drżąc z wdzięczności, postawił przed doktorem świecznik. Doktor otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic: mowę mu odjęło...

Antoni Czechow  
*Opowiadania całkiem śmieszne*

Wybór i redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-326-2, Festina 2014

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)